

Dominika Łukijaniuk klasa 1 i Gimnazjum nr 4

- I miejsce w Powiatowym Konkursie o Powstaniu Warszawskim

„Dziś idę walczyć, Mamo”



„Zapiski tej, co nie straci nadziei...”

Dla mojego taty i przyjaciół

5 sierpnia 1944

Nazywam się Marianna Konarska. Mam 14 lat. Pochodzę z Warszawy, z ulicy Złotej 5. Mieszkam tu od zawsze. Od urodzenia. Kocham to miasto. Jest moje. Jeśli polegnę, a ktoś odnajdzie ten dziennik, niech odda go mojemu ojcu - Ignacemu Konarskiemu. Jeżeli i on utraci swoje życie za Ojczyznę, proszę o spalenie tego zeszytu.

Postanowiłam już dawno. Idę do powstania. Mam dosyć patrzenia, jak walczą inni. Powstanie trwa już 5 dni. Niestety, wielu ludzi przez całą wojnę nie robi nic. Chyba się nie dziwię, każdy chce przeżyć ten koszmar. Ale ja wciąż pamiętam pożegnanie z moim tatą... 5 lat temu. Popatrzył mi w oczy, powiedział „Kocham Cię” i wyszedł. Nie było listów. Potem nagle wrócił - ciężko ranny, cudem przeżył. Mama umarła na zapalenie płuc w zeszłym roku. Mieszkamy teraz z tatą u ciotki Lidki na Pradze, ale tam ciasno i głodno.

Nie chcę czekać, aż śmierć dopadnie mnie w piwnicy czy na ulicy. Było by bez sensu umrzeć na darmo. Ja chcę umierać za COŚ. Chcę walczyć za Ojczyznę, za Warszawę... moją ukochaną Warszawę. Nie po to tyle ludzi poświęciło swoje życie, żebyśmy teraz wszystko zaprzepaścili. Tylko, co powie tatuś? Odkąd mama umarła, strasznie mnie pilnuje. Czy poradzi sobie beze mnie z jedną sprawną ręką?

12 sierpnia 1944

Przyjęli mnie do sanitariuszek. Powstanie trwa prawie dwa tygodnie, a rannych jest tak wielu, że każda z nas biega i ledwo jedną osobę opatrzy, a już pięciu innych czeka w kolejce. Dostałam pseudonim „Mięta”. Lubię go - kojarzy mi się z ogrodem babci pod Wołominem, z latem... i mamą w białej sukience.

W naszym prowizorycznym szpitalu poznałam chłopaka należącego do batalionu „Zośka”. Nie wiem nawet jak ma na imię, znam tylko pseudonim - „Brzoza”. Ma 16 lat. Kilka razy dziennie zmieniam mu opatrunki, bo hitlerowcy postrzelili go podczas jednej z akcji w okolicach Ogrodu Saskiego. Mam nadzieję, że będzie chodził, bo rana na nodze jest paskudna. Wciąż narzeka też na ból brzucha. Dużo rozmawiamy, opowiada mi o sobie i, mimo panującej atmosfery, śmiejemy się. Tylko z nim mogę pogadać, bo dziewczyny cały czas trąkotają o przystojnych chłopakach, a ja mam w głowie myśli o wojnie i o...ojcu. Brzoza wciąż opowiada o swojej drużynie harcerskiej, o Szarych Szeregach i o swojej przysiędze. Jeszcze brzmia mi w uszach jej słowa, które powtarzał, kiedy przynieśli go na noszach nieprzytomnego: „*Ślubuję na Twoje ręce pełnić służbę w Szarych Szeregach, tajemnic organizacyjnych dochować, do rozkazów służbowych się stosować, nie cofnąć się przed ofiarą życia*”.

13 sierpnia 1944

Dzisiaj rano, kiedy przyszedłam na dyżur, Pestka powiedziała mi, że Brzoza w nocy dostał krwotoku i umarł. To takie niesprawiedliwe. To był taki młody chłopak. Bardzo go lubiłam. Z kim będę teraz rozmawiać, śmiać się? Komu się wyżalę, wypłaczę. Marzyłam, że kiedyś zabiorę go do ogrodu babci

albo na spacer do parku. O czym ja myślę... nie ma już parków... nie ma Brzozy. I jeszcze ojciec wyjechał, chyba gdzieś walczy. Codziennie budzę się z myślą, że mogę dostać wiadomość o jego śmierci. Po co ta wojna? Dlaczego ludzie giną? To niesprawiedliwe.

15 sierpnia 1944

Moje czarne myśli się sprawdziły. Ojciec zginął. Mój tatuś... Kochany... Jedyne człowiek, którego miałam. ... Ciotkę Lidka też zginęła w Śródmieściu... Co z wujkiem i ciotecznym rodzeństwem nie wiem. Podobno wyjechali z Warszawy. Zostali mi tylko ranni... dużo rannych. Ale nie chcę się już przywiązywać. Przychodzą i odchodzą... niektórzy na zawsze, chyba do nieba. Nie wiem, czy Niebo jest... Czy jest Bóg?

Jutro moje urodziny. Tego dnia ja będę opatrywać rany, podawać leki i jedzenie, słuchać cudzych płaczów i jęków. Będę sama. Ale dzięki temu może choć na chwilę przestane myśleć o Brzozie, tacie, mamie, ciotce Lidce... i o śmierci, która czeka na mnie za każdym zakrętem. Już nie zależy mi na życiu. Ale wciąż żyję.

Został mi już tylko ten pamiętnik. Nie ma taty... Piszę go dla siebie. Rozmawiam ze sobą.

17 sierpnia 1944

Wczoraj przynieśli do nas młodą kobietę z malutkim dzieckiem. Krysia została ranna podczas nalotu w jednej z piwnic, która się zawaliła. Rana na brzuchu strasznie krwawiła, a my nie mogłyśmy jej zatamować. Dziewczyny walczyły z krwotokiem, a mnie kazały zająć się maleństwem. To chłopczyk -Stas. Ciągłe płakał, więc wzięłam go na ręce i kołysałam. Po chwili zasnął. Na szczęście był z nami doktor Lipski. Krystyna straciła bardzo dużo krwi, ale będzie żyć. Siedziałam przy obojgu i zazdrościłam im, że mają siebie. A ja?

W zeszłym roku tata na moje urodziny zdobył gdzieś trochę mąki i ciotka Lidka upiekła pyszne ciasto ... ze świeczką. W tym roku nie dostałam życzeń „stu lat”. Nie będzie tyłu. Być może nie będzie nawet jutra. Dziś mam 15 lat. A może 115? Żyję z dnia na dzień. Od jednego opatrunku do drugiego. Może to dobrze.

18 sierpnia 1944

Idąc na dyżur spotkałam Marka - kolegę ze szkoły. Ostatni raz widzieliśmy się kilka dni przed wybuchem wojny. Powiedział, że wielu naszych kolegów zginęło w pierwszych dniach powstania. Alek, Janek, śliczny czarnooki Franek... Nie wytrzymałam. Rozpłakałam się, choć chciałam być silna. Marek przytulił mnie i powiedział, że musi iść do swojego batalionu, do Śródmieścia. Zapytałam go o brata – Tadzia. To już Tadeusz. Ma 7 lat. Kanałami roznosi pocztę i meldunki – śliczny mały pyzaty chłopiec, teraz „szczurek” odważnie brnący przez śmierdzące kanały.

Pozegnaliśmy się z Markiem. Zdążyłam tylko dowiedzieć się, że jego pseudonim to „Czarny”, chociaż ma całkiem białe włosy. Obiecałam mu, że nie dam się zabić. Potem pobiegł. Bardzo tęsknię za tamtym, spokojnym życiem, za szkołą, warkoczami, za które ciągał mnie Marek. Teraz moje włosy są krótkie, bo łatwiej o nie zadbać... A woda jest potrzebna do picia.

20 sierpnia 1944

Dzisiaj przynieśli moją koleżankę Olę. Postrzelono ją niedaleko Pałacu Mostowskich, kiedy próbowała wydobyć z gruzów jakiegoś młodego powstańca. Na jej ręce lśniła opaska z czerwonym krzyżem. Niestety, pocisk przebił płuco i nic nie mogliśmy zrobić. To tak boli, codziennie patrzeć na śmierć wielu ludzi. Śmierć bliskich boli jeszcze bardziej. Wołałabym zamknąć się w mieszkaniu i czekać na hitlerowców. Nie chcę patrzeć na cierpienie i nic nie móc z nim zrobić. Niektóre dziewczyny są łączniczkami, zazdrozczę im.

24 sierpnia 1944

Przeniosłam się do łączniczek. Mam roznosić rozkazy między „rodzinami” i „pszczołami”. Wczoraj przekazywałam pierwszą informację. Podobno była bardzo ważna.

26 sierpnia 1944.

Zwykle, kiedy przynoszę rozkazy, trafiam od razu na dowódcę. Jednak kilka dni temu musiałam o niego zapytać jednego z harcerzy. Ten nie był zbyt miły. Dzisiaj na Starym Mieście było zupełnie inaczej. Nie mogłam znaleźć dowódcy i spytałam pewnego chłopaka. Był bardzo sympatyczny i pomógł mi go odnaleźć. Ma na imię Seweryn, a koledzy wymyślili mu pseudonim „Piękny”. Tak dobrze mi się z nim rozmawiało, że przypomniał mi się Brzoza. Chciałabym kiedyś jeszcze spotkać Pięknego.

1 września 1944

Dzisiaj niosłam rozkazy z batalionu „Wigry” do kompanii „Rudy”. Byłam już blisko celu, gdy nagle rozpoczął się ostrzał. Dali mi broń poległego i kazali strzelać. Nigdy jeszcze nie czułam takich emocji. Przerażający strach, ale jednocześnie delikatne szczęście, bo w końcu robiłam to, co chciałam robić od początku wojny. Wspólnymi siłami odparliśmy atak i mogłam przekazać rozkazy dowódcy. Dopiero później zorientowałam się, że zabiłam dwóch ludzi. Przeraziłam się sama siebie, bo nie żałowałam tego.

4 września 1944

Bataliony „Parasol” i „Zośka” walczą na Woli. Podobno zginęło już mnóstwo młodych chłopaków. Kiedy ta wojna się skończy? Kiedy ONI dadzą nam spokój? Chciałabym pomóc, ale nie mam broni... mam za to meldunki. Spotkałam Pestkę - powiedziała mi, że lepiej byłoby, gdybym wróciła do sanitariuszek. Dziewczyny już nie dają rady. Są na nogach całe dni i noce. Obiecałam jej, że to przemyślę. Chyba się zgodzę.

10 września 1944

Znów jestem sanitariuszką w szpitalu przy ulicy Marszałkowskiej. Walczę teraz z ranami, krwotokami, złamaniami i postrzałami. Trafił do nas Czarny, którego postrzelili w rękę. Jest silny, wyjdzie z tego.

Wieści są niepokojące. Nad miastem trwa starcie samolotów radzieckich z niemieckimi. Potem Armia Czerwona powtarza natarcie na przedmoście Warszawy. To jest coś strasznego.

Przynieśli ludzi z bombardowania. Mają okaleczone ciała, bardzo cierpią. Widać to nawet po dorosłych mężczyznach, udających, że nic ich nie boli i że mogą wrócić do walki. Musiałam dziś nawet jednego powstrzymać siłą od ucieczki ze szpitala. Ma żonę i dwoje dzieci, a chce tak łatwo dać się zabić. To nie ma najmniejszego sensu...

17 września 1944

Wczoraj Marek wrócił do oddziału, bo z jego ręką jest już dobrze. Krzysztof - mężczyzna, któremu złożyłam obietnicę powrotu do powstania, zmarł wczoraj w nocy. Odchodząc, podał mi adres swojej rodziny i poprosił, żebym ją odnalazła i powiedziała, co się stało. Przynależam mu, że to zrobię, ale strasznie boję się tego momentu, kiedy spojrzę tej kobiecie w oczy i powiem: „Pani mąż nie żyje”. Odwlekam to ciągle jak tchórz. Wolałabym po prostu nie znaleźć bliskich Krzysztofa. Może ich domu na Pradze też już nie ma. Zresztą, jak się tam przedostać?

27 września 1944

Mokotów skapitulował. Poddajemy się? Czy to już koniec? Rannych jest bardzo dużo. „Zośka” i „Parasol” ponieśli niewyobrażalne straty. Marek zginął. Wszystkie jesteście już bardzo zmęczone. Mogę mdleć z wyczerpania, ale ranni zawsze mogą liczyć na moją pomoc.

2 października 1944

Dowiedziałam się, że przedstawiciele komendy głównej AK podpisali akt kapitulacji. To już koniec powstania. Przegraliśmy. Tylu ludzi zginęło na marne. Boję się teraz co dalej. Niemcy są zdolni do wszystkiego. A ja wciąż żyję Marku... tato... Wciąż żyję! Tylko po co!